

[ SPOŁECZEŃSTWO ]



**Jan Nowicki** (rocznik 1939) – aktor, reżyser, pisarz, poeta, pedagog, felietonista, birbant. Przez lata związany był ze Starym Teatrem w Krakowie. Bardzo szybko dostrzeżony został również przez kinematografię. Za popisową uchodzi rola szulera w „Wielkim Szu” Sylwestra Chęcińskiego. Ale Nowicki miał na swoim koncie ponad 200 kreacji. Od przeszło 20 lat spełniał się jako pisarz.

# Coraz mniej tu, coraz bliżej Tam

O milczeniu własnym i Boga opowiada w ostatniej rozmowie, na kilka dni przed śmiercią, **Jan Nowicki**.

JAN NOWICKI: – Pan się spóźnił.

JULIUSZ ĆWIELUCH: – **Owszem.**

**O 10 minut.**

Pan się spóźnił co najmniej o 50 lat. Gdyby mnie pan spotkał 50 lat temu, to mnie by się gęba nie zamykała. I miałbym strasznie dużo do powiedzenia. A teraz żyję w jakimś kokonie. Otaczam się milczeniem, które ma prawo przerwać tylko moja żona Anna. Mój ostatni sens. Czas, w który wchodzę, składa się głównie z milczenia.

**Bóg też milczy.**

Pan myśli, że ja tego milczenia nie słyszę? Przecież żyjemy w świecie rozpadu. Absolutnie porażającym. Mnie tak strasznie dotyka ten czas. Tak bardzo mnie to wszystko boli, bo jeszcze dodatkowo wracają wspomnienia. Przecież ja się urodziłem w czasie wojny. I teraz na koniec też wojna. Budzę się i pierwsze, co robię, to pytam Anię o wiadomości z frontu. Jak stary generał. *Trzymają się – a to dobrze. Lecą na nich rakiety – niedobrze.* Ale w gruncie rzeczy cała ta sprawa to nieporozumienie. Przecież to wszystko powinno być bardziej proste. Rodzimy się, żyjemy, umieramy. Nie musimy sobie podrywać gardel.

**To dlaczego to robimy?**

A skąd mam wiedzieć? Niech On się wytłumaczy. Ja nie mam nic do powiedzenia. Uważam, że nawet nie mogę mieć. Zło dzisiejszego świata mnie przerasta.

**A kto grał Stawrogina w „Biesach”?**

**13 lat na afiszu, to z samego grania już pan powinien coś o tym złu wiedzieć, o duszy rosyjskiej całe sekwencje opowiadać, że dusza rosyjska to to albo tamto.**

Przyjeżdża pan do starca i zadaje te wszystkie pytania, które on sam sobie zadaje. Próba odpowiedzi to jest wielka odpowiedzialność, którą – pan wybaczy – jednak chromolę. Choć z drugiej strony nie jest mi to wszystko obojętne, bo ja, proszę pana, czytam trzy gazety: „Wyborczą”, pańską POLITYKĘ i „Przegląd Sportowy”. A ponieważ tamci nie przyjechali, to powiem panu, że chciałbym pod choinką zostawić czytelnikom jakąś nadzieję, coś miłego. Ale nic takiego nie znajduję. Pan mówi „Biesy”. A ja wycisnąłem swoje życie jak cytrynę i popelnilem taką książeczkę: „Moje psie myśli”. I w tej książeczce, z tych 13 lat grania „Biesów”, zostało mi tylko wspomnienie Jurka Kulawskiego, garderobianego. On jeden rozumiał, co się wtedy ze mną działo na scenie.

**A co się działo?**

Ja tam, proszę pana, oddawałem publiczności milczenie, bo Stawrogin głównie składał się z tego, czego nie mówił. Oddawałem swój czas. Oddawałem siebie. I Jurek w lot to zrozumiał. Jak po brawach



wchodziłem do garderoby, to mówił: – *Ja-siu, minął czas, co?* Publiczność wychodziła z teatru, a on ze mną zostawał. Stawrogina dobrze zagrałem, bo przeczytałem „Problemy poetyki Dostojewskiego” Bachtina, który uświadomił mi, że grając Dostojewskiego, trzeba udać się w głąb własnej duszy. Nie chodzi o to, żeby udawać Rosjanina. Musisz znaleźć w sobie swój mrok i dopiero jak zmierzysz się z tym mrokiem, możesz próbować coś powiedzieć. Jeśli chcesz zrozumieć człowieka, który stracił różnicę pomiędzy dobrem a złem, zrozum najpierw siebie. Tylko że Bachtin nie napisał, że takie poszukiwanie nie jest bezkarne. Trzeba płacić za to cenę.

#### **Po ile wtedy chodziło o zło?**

Wtedy jeszcze płaciło się w twardej walucie, bo ludzie pamiętali wojnę. Wiedzieli, za co płacą i czym się ryzykuje. Podchodzili do zła z respektem. Dziś – jak pan widzi – zło podlega inflacji i dlatego widać go na świecie coraz więcej. Na szczęście teraz więcej drzemie, to i dużo mnie omija. Drzemania nauczyłem od moich psów. Mnie w ogóle psy wiele w życiu nauczyły. Niektórzy nie doceniają psów. A to błąd. Franciszek Serwatka, wybitny chirurg szczękowy, który w kabarecie „Cyrulik” odkrył Ewę Demarczyk i znany jest jako autor „Konica na biegunach”, napisał dużo lepsze rzeczy: „Kupcie szczeniaka/ szczeniaka ładnego/ pies wyrośnie zeń mądry i zły/ wielką pociechę będziecie mieć z niego/ dobrym ludziom potrzebne złe psy”. Ja mam taką więź z moimi psami, jakbym sam był psem. Z tym że moje psy każdy może pogłaskać, z czego wniosek, że jestem złym człowiekiem.

#### **Pan jest rasowiec czy kundel?**

Zdecydowanie kundel. Syn szewca, matka bez szkół. Chociaż moja matka miała taki rozum, że szkół nie potrzebowała. Ale mnie do nauki goniła. Marzyło się jej, żebym miał małą maturę. Dziewięć klas dla syna to był pułap jej marzeń. Kombinowała, że wtedy nie musiałbym nosić skrzynek z jabłkami, tylko będę liczył tych, co skrzynki noszą.

#### **Zamiast tego siedem razy wyrzucali pana ze szkoły.**

Sam się wyrzucałem. Jedną z tych szkół to było TPPCUSz we Włocławku, czyli Technikum Przemysłowo-Pedagogiczne Centralnego Urzędu Szkolenia Zawodowego, po którym miałem być frezzerem. A frez to narzędzie wielostronne działające na zasadzie klina, czyli – jak pan widzi – pierwsze szlify edukacji już tam miałem. Pamiętam, że siedziałem w klasie na lekcji i patrzyłem na Wisłę, za którą były wzgórza. I te wzgórza tonęły w słońcu. Podnosiłem palec: – *Czy mogę wyjść?* Nauczyciel powiedział, że tak,

myśląc, że do toalety. A ja poszedłem w stronę tych wzgórz i już nie wróciłem.

#### **Z okien szkoły teatralnej w Łodzi żadnych wzgórz nie było widać.**

Na pierwszym roku okazało się, że jestem zdolny. Brałem np. krzesło i udawałem, że to jest dziecko. Takie głupoty, ale to się podobało, robiło wrażenie. Takie popisywanie jak małpa z nudów popisuje się w zoo. Ogólnie łatwo mi to przychodziło. Ale nie tylko to. Seks, wino, zabawa też mi łatwo przychodziły. I tak się temu oddałem, że przestałem chodzić na zajęcia. Można powiedzieć, że nie tyle przestałem, co zapomniałem chodzić na zajęcia. Dali mi drugą szansę, co było czymś niezwykłym, czego ja oczywiście nie doceniłem, tak jak wielu rzeczy w swoim życiu. Opiekunką tego pierwszego rocznika, na którym miałem powtarzać edukację, była wielka aktorka Jadwiga Chojnacka. Ale ona się mną jakoś nie zachwyciła. Powiedziała, że mnie nie zna. A ja wypaliłem, że ja jej też. No i trzeba było się pożegnać ze szkołą.

#### **I przywitać z wojskiem?**

Całe życie powtarzam, że wojsko to jedna z najkoszmarniejszych rzeczy wymyślonych przez człowieka. Żołnierz nie może myśleć. Ma wykonywać rozkazy. Pamiętam, że kupiłem „Kurier Polski”, gdzie wyczytałem, że Kopalnia Węgla Kamiennego Miechowice w Bytomiu reklamuje od wojska. Zamiast do koszar można było iść do pracy pod ziemię. Nie miałem żadnych wątpliwości, że wolę iść pod tę ziemię. Pamiętam naszego instruktora. Nazywał się Basista i pięknie opowiadał o kopalni. Mówił tak: Naprawdę to tu jest życie. Na górze, jak się pojedzie, to tyle, że kobita da coś do zjedzenia. Ale żeby żyć, to trzeba naprawdę zjechać na dół. Bo tylko na grubie jest życie.

#### **I tak było?**

Górniane miejsce. Mieszkałem w Domu Górnika nr 8. Sakramenckie chłanie. Połowa nie potrafiła pisać, więc listy do ich dziewczyn pisałem ja. Ładne listy. Ale ze zjeżdżania pod ziemię to nie zwalniało. I dopiero tam, w trzewiach kopalni, w tych ciemnościach, po raz pierwszy zrozumiałem, że muszę coś ze sobą zrobić. Nieważne, jak pięknie świeci słońce na tych wzgórzach, to nie wolno mi tam iść. Muszę do końca w tej klasie wysiedzieć, inaczej już żadnego słońca nie będzie.

#### **Dlaczego studia kończył pan w Krakowie, a nie w Łodzi?**

W Łodzi byłem już spalony, ale miałem tyle rozumu, żeby szukać tam pomocy. Pojechałem do chorego na gruźlicę profesora i zapytałem, co mam robić. Pamiętam, że po każdym kaszlnięciu spluwał do butelki, która koło niego stała. Wziął

kartkę papieru i napisał list polecający do profesora Akademii Teatralnej Jerzego Merunowicza z Krakowa. Zaczynał się od słów: „Drogi Jerzy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Wysyłam Ci człowieka, który nigdy w życiu nie będzie aktorem, bo nie ma charakteru. Ale lubię go”. Tak się składa, że zostałem później dziekanem tej szkoły.

#### **Mimo to może miał rację.**

Miał i nie miał. On widział ten mój dar do trwonienia. Ja całe życie trwoniłem pieniądze, związki, emocje. To mnie rujnowało i ratowało. Ratowało, bo nie dałem się temu zawodowi oszukać. Nie uwierzyłem, jak niektórzy koledzy, że są tacy mądrzy jak te wszystkie postaci, które zagrali. Z drugiej strony jest rodzaj skromności, której nie znoszę, czyli tej fałszywej. Mnie się przecież w jakimś sensie w tym zawodzie powiodło, czego nie mam zamiaru się wstydić. Choć nie sądzę, żeby to było w pełni zasłużone. Owszem, starałem się zawsze do czegoś dotrzeć, coś więcej zrozumieć, żeby więcej dać widzowi. Czasem mocno nawet ryzykowałem. Grałem coś pod prąd. Jakby w kontrze i ostatecznie dobrze na tym wychodziłem. Ale przecież nie mogłem być pewien, że to się uda. Tym bardziej że nie czułem się dobrze przed kamerą. Do dziś pamiętam to moje straszne speszenie.

#### **Czyli grał pan podwójnie – rolę i brak speszenia.**

Tak można powiedzieć. W 1964 r. zagrałem w „Popiołach” u Wajdy. Zaledwie epizod. Grałem kapitana Wyganowskiego. Strasznie się wstydiłem tego, jak to zagrałem. Jakiś czas później na ulicy Szczepańskiej w Krakowie spotkałem Jerzego Skarżyńskiego i Krzysztofa Pendereckiego. Dla mnie wtedy to byli Krzysiu i Jurek, ale jednak czuło się respekt, bo to już wtedy były asiory. Szli z kina na ulicy Jana, gdzie był pokaz „Popiołów”. Stanęli i powiedzieli, że bardzo im się podobałem, że świetnie to zagrałem, i poszli. Pamiętam, że to było koło bramy. Wszedłem do niej i się popłakałem, że tak ze mnie kpią. Za co i dlaczego tak mnie upokarzają – tak o tym myślałem.

#### **Aż tak?**

Aż tak. Na szczęście „Popioły” widział też pan Piotr Skrzynecki. Miał taki zwyczaj, że od czasu do czasu dedykował komuś jakąś piosenkę w kabarecie Piwnica pod Baranami. I pamiętam, że tam przyszedłem, a pan Piotr powiedział: dla pana Jana, którego widziałem w roli kapitana Wyganowskiego, chciałybyśmy zadedykować piosenkę „Tomaszów” w wykonaniu Ewy Demarczyk. Jak on wtedy powiedział „dla pana Jana”, to od tego momentu tym panem Janem zostałem. A on został panem Piotrem. ►



**► Co pan w nim zobaczył?**

Pan Piotr był narkomanem rozmowy. Miałem taki moment, który mi bezpowrotnie umknął, kiedy mówiłem dobrze po polsku. Dobrym językiem. Mówiłem, jakby z pewnym upoważnieniem, płynąłem. Piliśmy i godzinami gadaliśmy. Czasem dwie doby non stop. Z panem Piotrem nie rozmawiało się ot, tak. Przychodził i na przykład mówił źle o Andrzeju Wajdzie. A ja miałem Wajdę chwalić. Po 15 minutach zmiana. Teraz to ja mówiłem źle, a on dobrze. Tylko po to, żeby bawić się rozmową. Był absolutnie nieprawdopodobnym rozmówcą. Widział świat, jakim inni go nie widzieli. Kiedyś w jakimś wywiadzie powiedział: „Lubię pana Jana jak konwalie, a konwalie bardzo lubię”.

**Ja bym pana sytuował wśród kwiatów z kolcami.**

Dlatego nie jest pan moim przyjacielem, a ja pańskim. Uwielbiałem Go. Zwłaszcza za takie momenty, kiedy na przykład zapraszał mnie na wytworne kolacje za moje pieniądze. Przychodziłem, a on pytał, czy coś dziś zarobiłem. Na co ja, że dwa miliony, oczywiście na stare pieniądze. To niech mi pan da z milion. A dlaczego mam panu dać milion? Bo chciałbym zaprosić pana do Wierzyńka na kolację. Chce pan? Kellnerzy kłaniali mu się do pasa, bo zostawiał sowite napiwki, a mnie traktowali jak łachudrę.

**A jak się żyje bez przyjaciela?**

Kiepsko. Na szczęście mam dużo świetnych kumpli. Od blisko pięciu lat koresponduję z jednym z nich. Bardzo mądrym i czułym. Część listów znalazła się w mojej najnowszej książeczce „Szczęśliwy bałagan”. Wielu moich bliskich odeszło w ciągu ostatnich dwóch lat. Jurek Trela, Zygmunt Malanowicz, Ludwik Stomma, Jurek Pilch... To interesujący, wspaniali, piękni panowie. Z każdym byłem w stałym kontakcie, więc bez nich też źle i pusto.

A pan Piotr przecież ciągle żyje. Śmierć z pamięcią nie wygra, a tym bardziej z tęsknotą. I żeby nie oszaleć od tej tęsknoty, zacząłem zaraz po jego śmierci pisać listy do niego. I odpisywać sobie z nieba na ziemię. Przez te nasze „zamienianki” w rozmowach doskonale wiedziałem, co pan Piotr na te moje liściki odpowie. I nawiązał się dialog. Trwało to cztery lata.

**Pan sfiksował, czy się leczył?**

Może jedno i drugie. Ale to było rzeczywiście jak terapia. Tym bardziej że w gazetach chodziło. Zdarza mi się do dziś, że podchodzi ktoś i mówi, że listy do pana Piotra zainspirowały go, żeby zacząć pisać np. do swojego zmarłego męża albo kogoś bliskiego i że to bardzo pomaga.

**A za sztukę chwałą?**

Chwałą, ale nie zawsze za sztukę. Kiedyś myślałem, że film to jest sztuka. Dopiero później się zorientowałem, że sztuką bywa. Czasem u Marty Meszaros, Krzysztofa Zanussiego, Filipa Bajona, a zawsze u Wojciecha Jerzego Hasa.

**Has wspaniał, ale hermetyczny.**

Myli się pan. Kiedy jeszcze na Festiwalu w Gdyni się dyskutowało, a nie jak teraz robiło show, po seansie „Sanatorium pod Klepsydrą” odbywała się taka właśnie dyskusja. Nie brakowało oczywiście tego gadania głupot w stylu: czy za mało, a może za dużo pleneru. Has się wściekał. On zawsze się wściekał. Dla niego to zawsze było nie takie, jakie powinno być. U niego w głowie było wspaniałe, w scenariuszu, grubym jak Biblia, było niezłe. A na ekranie zawsze nie takie. No, ale ja nie o tym. Na tymże festiwalu w pewnym momencie koło mnie stanęła kobieta, sprzątaczką. Stała oparta o szcztokę i nagle mówi: – Patrzyłam na ten film i tak się bałam jak wtedy, kiedy była burza i się chowałam pod stołem.

To jest recenzja. Lepiej nie napiszesz.

**Ale to nie „Sanatorium...” ludzie pamiętają, tylko „Wielkiego Szu”.**

Na to, jakie ludzie mają ambicje, nie masz wpływu.

**A pan jakie miał?**

Żadnych. Na początku chciałem się najeść.

**A jak już się pan najadł?**

Jak się najadłem, to się okazało, że wcale nie stałem się szczęśliwszy. Byłem po prostu tylko najedzony, więc dalej szukałem. Smakowałem i dalej szukałem. Ciągle biegłem. Moje życie to był galop, wieczny pęd i głód. A na starość okazało się, że i tak najlepiej pamiętam smak ziemniaków, które podjadałem kurrom. Pamiętam, że jak Niemka je wynosiła, to jeszcze parowały. I ja się do tych ziemniaków zakradałem i je jadłem. Dziwna jest ludzka pamięć. Dziwne jest to, co się zapamiętuje. Mojego ojca pamiętam tylko, jak leżał w trumnie w hiacyntach. Miałem cztery lata, a on – 38.

**Dziś się umiera w szpitalach, sterylnie, bez dzieci, żeby im się nie śniło.**

Nieludzkie to czasy. Jak umierała babcia Józia, to bawiłem się z chłopakami i spóźniłem się na jej śmierć. Wszedłem w taki ciemny korytarz, a tam jej syn, czyli wujek Paszyński, tak mi dał w mordę, że się aż usmarkałem: – Gdzie ty łazisz, babka umiera, a ty łazisz. Wszedłem do tego pokoju. Pamiętam palącą się gromnicę i ją, która zdawała się przyjmować z otwartymi ustami komunię, taki miała wyraz twarzy. Jak już wszyscy wyszli, to ją delikatnie uszczypnąłem w policzek. I ze strachu uciekłem.

**Boi się pan?**

Już tyle razy umierałem. Wieszali mnie w filmie, w teatrze, zabijali plastikowym nożem. Cięcie, koniec przedstawienia – wstajesz.

**Ja serio, a pan pajacuje.**

A co mam powiedzieć? Przecież w umieraniu zawsze jesteś sam. Sądzę, że przeraźliwie sam, że swoją straszną wiedzą, że to już właśnie teraz, że to właśnie tak, że już potem Nic. Babcia mówiła, że nie wolno płakać. Zwłaszcza przy umieraniu dziecka, żeby dusza nie cierpiała. Moja matka pochowała dwoje dzieci w jedną noc. Zadusił je koklusz.

**Najpierw Nic, a później dusza. Musi się pan zdecydować.**

Nic jest słowem bardzo pojemnym. Tak jak cisza nie jest tylko ciszą. Mówi się: słyszysz ciszę? Nasłuchujesz, a tu cisza. Napisałem kiedyś: „Słuchaj ciszy, ona krzyczy, że żartujesz, że wciąż kpisz”.

**To dlatego On milczy?**

Nie wiem. Nic o Nim nie wiem. Nie wiem, czy On sobie w ogóle kimkolwiek zawraca głowę. Dlatego ćwiczę się w wybaczeniu. Wybaczeniu sobie. Trzeba próbować sobie wybaczyć pewne rzeczy, które się powiedziało, zrobiło. Trzeba sobie to wszystko poukładać, żeby nie oszaleć.

**Z dziećmi pan sobie poukładał?**

Mnie nigdy nie było i w pewnym sensie mnie nie ma... A żeby wychować dzieci, trzeba przede wszystkim z nimi być. Do tego trzeba je bardzo, bardzo kochać i obserwować. A mnie nie było. Za to dobrze mi się układa z moim wnukiem Piotrem i pasierbicą Asią. Te ich 19 i 20 lat i moje ponad 80 znajduje dużo stycznych. Może dlatego, że nic nie musimy, tylko chcemy? Boję się małych dzieci, ich egoizmu i tego przyzwolenia dorosłych, że im wszystko wolno. Wolę kochać starych ludzi, to są prawdziwe dzieci. Bezradni, zagubieni, na skraju. Czy widzi pan ten napis na płocie mojego domu?

**Widzę. Trzy duże litery TAM. Dlaczego Tam?**

Bo nie tu. Coraz mniej tu. A coraz bliżej Tam. Zmęczony jestem. Niech pan już to wyłączy.

**Pan idzie Tam?**

Na razie do moich psów. Zdrzemnąć się. Może mi się przyśni tamto skrzywienie śniegu pod butami w drodze na pasterkę.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CŹWIELUCH

**Jan Nowicki** zmarł nagle, w środę, 7 grudnia, kilka dni po naszym spotkaniu. Ale na własnych zasadach – w domu, a nie w szpitalu, co napawało go przerażeniem.

Dzień przed śmiercią przysłał esemesa z pytaniem, czy wybrane zostały zdjęcia i czy rozmowa na pewno pójdzie w świątecznym numerze, jak była planowana. Śmierć przyspieszyła życie.